



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ulica Teatynska liczba 23. dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

REDAKTOR: FELIKS LEWANDOWSKI.

Dwaj przyjaciele.

Szkic z życia według Emila Mariota.

„Więc niema dla niego ratunku?“

„Tak jest, dnie życia chłopca są już policzone, pożyje jeszcze dni kilka. Siły jego są wycieńczone w największym stopniu i nie już na to poradzić nie mogę.“

„Mam-że ja chłopca u siebie trzymać i nie spać z powodu jego kaszlu? Skąd ja do tego przychodzę?“

„Skąd wy przychodzicie do tego — nie wiem. Nie jest że on waszym synem?“

„Ale gdzież tam! Jakiś czas mieszkała u mnie jedna wdowa, która umarła — i jego mi zostawiła. Trzymałem go u siebie, chociaż to wcale nieprzyjemnie karmić zadarmo takiego wyrostka.“

„To oddajcie go do szpitala, macie tu moją kartę powołającą się na mnie, a z pewnością przyjęty zostanie.“

Obydwaj mówiący stali w sieniach biednego domku na wiedeńskim przedmieściu. Jeden z nich był doktor; drugi nieprzyjemnie, opito wyglądający człowiek, którego głos i cała postawa zdradzała fizyczny i moralny upadek.

Lekarz zmierzzył wzrokiem pogardy i politowania tę od-

straszącą postać, pożegnał go i odszedł. Pozostały zaknął i wszedł na podwórze.

W parę minut potem wysunęła się z zakątka ciemnych sieni mała słaba postać. Był to wysechnięty, wynędzniały i kulawy chłopiec; blady na twarzy, a ręce bezwładnie opadały mu wzdłuż ciała.

Ręce te podniósł i przycisnął rozpaczliwie do piersi, jakby tamując ból i patrzył z żalem za odchodzącym opiekunem, pokiwawszy przytem głową.

Słyszał on rozmowę obu mężczyzn. O nim mówiono; on to musiał umierać. — Mężczyzna zaś mruczał, przeklinał, w końcu kopnął psa, co leżał przed budą na łańcuchu. Włożył brudną czapkę na głowę i niezauważawszy chłopca wyszedł z podwórza.

Mały śledząc jego wszystkie ruchy odetchnął z ulgą i pomyślał: „Opiekun poszedł do szynku i tak prędko nie powróci.“

Dla tego tę swobodę chciał mały użyć, ażeby pożegnać się z jedyną drogą istotą, która mu była miłą na tym świecie.

Przybliżył się on do psiej budy i upadł na kolana przed psem, patrzącym smutnie na niego. Obiema rękami objął psa za szyję i przytulił swą wynędzniałą twarz do głowy wiernego zwierzęcia.

„Umieram“ — wyszeptał.

Z takim życiem, jakie jego było, pożegnać się nie trudno. Żadnemu człowiekowi nie był on miłym. A nawet i matki już nie miał. Nie była ona złą dla swego jedyne go dziecka Grzegorza, ale miłości żadnej mu nie okazywała.

Umarła kiedy miał rok dziesiąty, pozostawiając go bez najmniejszej opieki. Od jej śmierci minęło pięć lat. Chłopak został u handlarza drzewa, u którego jego matka mieszkała, a który teraz podupadłszy i rozpiwszy się żył z dnia na dzień zarabiając i przepijając większą część zarobku. Chłopaka trzymał u siebie i ten mu wykonywał wszystkie roboty w domu; pracując przez cały dzień, a w nagrodę za to z głodu usychał. A gdy opiekun wracał zły i spity, wywierał swój gniew na chłopca i bił go nielitościwie. A kiedy czasem sąsiedzi zwrócili uwagę policji na katowanie chłopca, nie przyznawał się on przed nią do tak wielkiego cierpienia obawiając się potem zemsty opiekuna.

Jedynym znośnym czasem w życiu biednego Grzegorza był ten, w którym uczęszczał do szkoły. Mali koledzy naśmiewali

się bożmyślnie nieraz i niemają z kulawego nędznego i warzy-
sza. Ale w końcu przyzwyczaił się być i do tego.

Mimo tych przykrości było mu tu miło i przyjemnie. W szkole nie czuł zimna, mógł się uczyć, czytać i pisać, nikt się też nie gniewał na niego. — O! te dobre czasy minęły dawno bezpowrotnie. Czasami kiedy opiekun poszedł na robotę i nie było go dłuższy czas w domu, wyjmował chłopiec książki, które mu nauczyciel przy rozstaniu podarował i czytał z zajęciem i zachwytem, zawsze koło swego wiernego towarzysza psa. W jego też domku t. j. budzie przechowywał te swoje skarby, ażeby ukryć je przed opiekunem. Wiernie strzegł pies tych książek, a Grzesio czytając mu półgłosem opierał się o niego i zapytywał nieraz: „Prawda Sulciu że to piękne?“ Pies jakby w odpowiedź uderzał ogonem.

Dziś zaś nie myślał Grześ o książkach lecz zwrócił się wprost do psa.

„Wiesz co Sulciu,“ — szeptał i przyciskał jego głowę do piersi — „wiesz, że ja wkrótce umrę. My zawsze cierpielśmy razem — ty cierpliwie, ja często niecierpliwie. Dla ciebie zawsze dobrym byłem. Wezoraj dostałeś od niego jak zwykle tylko trochę łupek z kartofli i nie więcej. Ja byłbym ci chętnie co przyniósł, ale sam nie dostałem tylko kawałeczek chleba i ten bez myśli zjadłem, bom nie wiedział, że tobie nie zostawi.“

— Pewnie głodny jesteś mój dobry biedny psie?

Zawsze musisz być przypięty na łańcuchu, nigdy nie możesz swobodnie pobiegać jak inne psy. Musisz dniem i nocą strzedz własności twego pana, który cię nawet nie żywi dobrze za to. — Kopie cię nogami i dręczy, gdy pijany do domu powraca. On musi swój gniew wyrzucić na kimś, a do tego nie ma nikogo, tylko mnie i ciebie.

Ja nie raz, tylko Bogu wiadomo, jak biegłem, ażeby zająć mu drogę i ochronić ciebie, bo ty jeszcze bezbronnejszy jesteś odemnie. A gdy miałem co jeść, dzieliłem się z tobą. — Jakżeż teraz będzie tobie, gdy mnie w ziemię złożą?“ I załkał serdecznie biedny chłopeczyna, i płacząc kończył. „Choć byłem słabym i opuszczonym, jednak mogłem ci nie raz pomóc! Ty byłeś zawsze biedniejszym z nas dwóch. Ja pójdę tam w górę do nieba, a ty będziesz tu dalej męczyć się na łańcuchu. — Tak być nie może. — Ja zawsze martwiłbym się tam, że ty cierpisz i głód znosisz za dwóch.“

Żałośnie i cicho zawył pies na tę mowę i lizał ręką chłopaka. Chłopak zamyślił się, przestał płakać i leżąc prawie na ziemi wpatrywał się oczyma nieruchomie.

I tak razem przedstawiali, ten chłopak i pies, smutny obraz ofiar bez opieki.

Drugiego dnia oddał ten nielitościwy zapity człowiek umierającego chłopca do szpitala.

„Nie nie płacę za niego,“ krzyczał i patrzył ze złością na chłopca, „ani centa.“ To do mnie nie należy. Z litości hodowałem tego niedołęgę i w podziękę niegodziwe chłopezysko dał mego psa zabić rakarzowi. Jeżeliby panowie nie chcieli go tu zatrzymać, możecie go wyrzucić na drogę. Ja go tu znowu przyniosę, jeżeliby śmiał do mnie powrócić.“

Chłopca przyjęto i położono do łóżka. — Po raz pierwszy w życiu leżał on w czystym łóżeczku. Jakże tu pięknie jemu się wydawało: być tak ciężko chorym, leżeć cichutko i czekać śmierci. Nie słyszeć przekleństw, nie bać się bicia, . . . wszystek ból i troska skończona. Myślał też czasem „śmierć jest tak przyjemną, a dlaczego czasem jej się ludzie boją.“

Dwa dni przeleżał cichutko słabnąc coraz bardziej, wreszcie udzielił mu ksiądz św. Sakramentów a w końcu zapytał się jego łagodnie i przyjaźnie: „Czy ty psa twego opiekuna dałeś zabić ze złośliwości?“ „O nie! nie!“ zawołał chłopak, i łzy polaly mu się z oczu. „Ja uczyniłem to z miłości dla psa. Bezemnie byłby on jeszcze nieszczęśliwszym, a ja pomyślałem sobie, iż najlepiej będzie jemu, jeżeli obydwaj pomrzemy.“

„Chętnie byłbym go sam zabił, ale byłem za słaby i byłbym dłużej jego męczył niż człowiek do tego wprawiony. Odprowadziłem go aż do drogi śmierci i prosiłem tego człowieka, ażeby mój kochany pies nie czuł bólu i nie męczył się. I . . . rzeczywiście . . . stało się to bardzo prędko — strzał padł a pies ani piśnął.“ Opowiadając to płakał, ukrywając twarz w dłonie, a po chwili kończył: „Dzięki Bogu, teraz i on spokojny, nikt go już męczyć nie będzie.“ Ksiądz położył rękę na głowę chłopca: „Co by to mogło być z tego dobrego dziecka“ — myślał, jeżeliby był się nim kto zajął. Ile szczęścia mogło to serce dziecięce wyświadczać i samo być szczęśliwe!“

„Księżę dobrodziejju!“ — odezwał się chłopiec znowu, „dlaczego zwierzęta nie mogą pójść do nieba?“ — „Moje dziecię —

odpowiedział tenże, — o tem pismo święte nie daje żadnego wyjaśnienia.“

„Więc zwierzęta tylko dla ludzi są stworzone? Dręczone są i męczone aż do śmierci i wszystko znoszą cierpliwie, nawet cierpliwiej, jak który z najlepszych ludzi swe przykrości znosi“.

„Żadna nagroda nie oczekuje ich za to? One mają tylko cierpieć i nie mieć za to żadnej zasługi? Wielebny Ojciec! jeżeli tak jest, to lepiej, aby ich Bóg nie był stworzył, albo ażeby one były znieczulone przeciw wszelkiej boleści“.

„To jest rzeczą kochanego Boga, lecz nie moją ani twoją“ — odpowiedział ksiądz wymijająco.

Chłopak zamilkł, ale jakaś troska i ból okazały się na jego twarzy. „Chętnie odchodzę ztąd“ — wyszeptał do siebie. „Na ziemi jest wiele niesprawiedliwości, ludzie Boga w sercu nie mają“.

Ksiądz wstał i chciał odejść, lecz Grzegorz wyjął parę zniszczonych książek, które miał pod poduszką schowane, a podając je księdzu, mówił słabym głosem: „Książki te są moje. Ja więcej potrzebować ich nie będę. Proszę dać jakiemu biednemu dziecku, które jest tak biedne jak ja i tak chętnie jak ja czytuje. — Może kiedy to dziecko wspomni przyjaźnie o mnie.“ Skończył mówić, gdyż życie jego zbliżało się ku końcowi. Raz jeszcze w gorączce i w tej słabej walce ze śmiercią, siły pozorne jemu przybyły, podniósł się, wyciągnął ręce i wskazując obrazy, które mu się przedstawiały, majaczył.

„Jak jasno! jak pięknie — ciepło! — Żadnego złego ducha... Czyż ja już nie na ziemi? Tam... tam“ i twarz jego jaśniała miłą radością, pochylał się na poduszki i mówił coraz ciszej: „tam biegnie pies mój. — I ty tu wpuszczony mimo ludzi, którzy chcą niebo mieć tylko dla siebie? Chcą tylko dla siebie i niebo i ziemię... Ale ci, którzy ostatnimi byli, będą pierwszymi.“ Zamilkł, ręce opuścił i nie żył. Umarł i był wyzwolony z więzienia, które życiem nazywamy.

Koń arabski.

W sprawozdaniu swoim z „Pielgrzymki do Neidu“, pomieszczonem w *Atlantic Monthly*, opowiada nam lady Anna Blunt, iż zboczyła z drogi dla odwiedzenia słynnego od brzegów Eufratu aż po granice Yemenu — konia.

W chwili, gdy Angielka stanęła przed namiotem najgłośniejszego z biegunów pustyni, szczęśliwy posiadacz na wagę złota cenionego zwierzęcia wybierał się właśnie w drogę.

Wielbłądy, muły, kobiety, wszystko to objuczone było i obłożone ciężarem, koń tylko iść miał luzem. Gospodarz wołał nająć od sąsiada osła pod rzeczy, byle rumak i źdźbła nieść nie potrzebował.

— To jeden z *Manegn ibn Sbeyel* — rzekł do Europejki, pojmujesz więc, iż koń tego rodu nie może odgrywać roli jucznego bydlęcia.

Bo też Arabowie, kupując np. konia, mało sobie wazą jego zalety i wady, chodzi im głównie o ród i pochodzenie.

Synowie koni.

Wiadomo, iż nam Europejczykom nie zdarza się prawie oglądać koni arabskich czystej, owej przenajczystszej krwi. Od czasów słynnego „Darley Arabiana“, sprowadzonego do Anglii za panowania królowej Anny (o naszych ongi arabskich stajniach widocznie nie słyszała autorka cytowanego artykułu; *przyp. Red.*), nigdy nie pojawił się na zachodzie koń arabski pierwszorzędnego rodu. Być może, iż należałoby uczynić wyjątek dla „Noemi“, klaczy bezwzględnie czystej krwi, kupionej kilka lat temu przez majora Upton, a znajdującej się obecnie w Stanach Zjednoczonych, bezpieczniej wszakże nie spuszczać tu z oka znanej blagi z za oceanu.

Nawet na głośnych targach Damaszku i Bagdadu niepodobna spotkać się z *asilem*, t. j. koniem arabskim wysokiej, czystej krwi. Zwierzęta hodowane w Syrii i sprzedawane w Konstantynopolu lub Kairze, są tylko *metisami*, mieszańcami, o których beduini ze wzdrgadą jeno wspominają. Zowią je „synami koni“.

I słuszna to nazwa, pochodzą bowiem z krzyżowania ogierów pierwszej wody, z klaczami niższej rasy. Wszystkie niemal bywają maści szpakowatej, a ta już sama sukienka na pierwszy rzut oka zdradza ich pochodzenie. Owe *kadisze* stajen sultana lub kedywa, to tylko „synowie koni“, ale nie potomkowie klaczy krwi.

Pewien Beduin z Neidu, zapytany, co mniema o stajni Abbasa I., odparł bez wahania, iż jednej nie ma w niej klaczy wysokiej rasy.

A przecie syn Mehmeta Alego kochał się w koniach arabskich i wydał około 25 milionów, zakładając w Kairze wzorową stajnię. Książę ten, na wskróś duchem wschodu przejęty, nie posiadający ani jednego z instynktów europejskich następców swoich: Saïda i Ismaila, nie cofał się przed żadną ofiarą, gdy chodziło o dogodzenie namiętnemu upodobaniu jego do koni. Już to wysyłał całe wyprawy do Medyny, w celu pozyskania za jakąbądź cenę starożytnego wzoru podkowy, nieznanego w Egipcie; już to na wozach ze wszelkimi ostrożnościami, krok za krokiem, sprowadził z głębi Arabji klacz słynnego rodu, ale zbyt starą, aby mogła na własnych nogach odbywać drogę.

Zaledwie w ostatnich miesiącach panowania swojego udało się wicekrólowi zdobyć garstkę ogierów i klaczy arabskich o czystej jak lza, genealogii.

U Gomussów.

Jeżeli zatem sultan szpakowate jeno *kadisze* był w stanie ofiarować jenerałowi Grantowi, jeżeli kedyw Egiptu, stawszy się wasalem królowej Wiktoryi, już tylko angielskimi posługuje się rumakami; jeżeli basza Bagdadu średniej jeno posiada wartości stajnię a emir Hailu, którego łupieztwa sięgają od mórza Czerwonego do zatoki Perskiej, nie zdołał więcej, jak 3—4 zwierząt wysokiego posiąć rodu, gdzież więc plenią się owe klacze, nie posiadające równych sobie, które starożytną rasę koni w całym jej przechowały blasku?

Z góry zastrzedz należy, iż liczba ich wielce ograniczona zdaniem lady Blunt, istnieje ich zaledwie około 200 sztuk, a szukać ich wypada w Neździe.

Neźd, to pustynia, poprzerzynana bogatemi pastwiskami, stanowiąca olbrzymie płaskowzgórze środkowej Arabji. Powietrze okolic niesłychaną odznacza się czystością, a w atmosferze tej suchej i cieplej koń rozwija się wspaniale.

Pomiędzy pokoleniami koczowniczymi arabów, uwijających się po owej przestrzeni piasków i pastwisk, pokolenie Gomussów zasłynęło czystością krwi koni swoich. Jak i inne klany konfederacyi Anazehów, do której należą, spędzają zimę w Neździe, z wiosną zaś rozbijają namioty na pobrzeżu Eufratu. Ogiery swoje sprzedają Syryjczykom, którzy hodują *kadisze* na targi Damaszku i Bagdadu.

Klacz rodu wysokiego bywa zawsze prawie maści gniadej w ciemne jabłka; to maść najcenniejsza. Odcień orzechowy drugie zajmuje miejsce, mniej daleko ceni się maść szpakowata, a już wcale kara. Za to poszukiwaną jest maść siwa, występuje jednak bardzo rzadko. Maść bułana, srokata, dereszowata, izabelowata nie pojawia się nigdy wśród rasowych koni arabskich, i nieomylnym jest znakiem krzyżowania z końmi podlegszego zawodu.

Beduin, nabywając konia, na trzy przedewszystkiem oznaki zwraca uwagę, świadczące o czystości krwi: *zibbach*, t. j. wypukłość czoła, na *mitbeth*, t. j. połączenie głowy z szyją i wreszcie na odsadę ogona.

Dynastye końskie.

Z trzech oznak, powyżej wymienionych, najważniejszą jest odsada ogona. Arab czystej krwi w galopie nieść go winien prostopadle prawie. Tej to właściwości ukształtowania zawdzięcza pochodzenie swoje jeden z najcenniejszych końskich rodów wśród Gomussów.

Pewnego razu Beduin jakiś, uciekając przed nieprzyjacielem, aby ulżyć koniowi eigżaru, zrzucił ze siebie burnus. Obejrzawszy się po za siebie parę godzin później, arab, ze zdziwieniem ujrzał płaszcz swój zawieszony na ogonie klaczy, jak na kołku. Działo się to przed wiekami, a do dziś dnia potomstwo klaczy „o burnusie“ dumą jest posiadających je. Inne legendy niemniej fantastyczne.

Początki rodu „starej kobiety“ również są głośnie. Klacz pewnego araba, któremu udało się wyprzedzić znacznie ścigających go rozbójników, zatrzymała się na chwilę w biegu, aby wydać na świat źrebię, poczem popędziła dalej. Jakież było zdziwienie araba, gdy dotarłszy do obozu pokolenia swego, ujrzał przybywające tuż za matką źrebię. Powierzył je pieczy starej jakiejś kobiety, skąd poszła nazwa słynnego rozgłosnie rodu.

Inne znowu źrebię, ranione przez pana swego lancą w nogę, przeszkadzało mu bowiem w ucieczce, mimo rany tej dotrzymało matce kroku i dało początek rodu „Ojca o pęcinach“.

Wychowanie w rodzinie.

Wiadomo, że u beduinów konie stanowią część rodziny. Pewien podróżnik angielski opowiada, że zdarzyło mu się wi-

dzieć klacz, która po deszczu weszła suszyć się do namiotu, a ogrzawszy się, polizala koleją wszystkich obecnych i podążyła na wyznaczone jej miejsce za namiotem.

Żrebięta tak są oswojone z ludźmi, że szukają po kieszeniach u przybyszów łakoci a zwłaszcza cukru, za którym przepadają.

Wbrew zwyczajowi przyjętemu na zachodzie, żrebięta w Arabji odsadzanemi bywają już po miesiącu, a zamiast używać swobody, bując po pastwiskach w towarzystwie klaczy stoją pod namiotem przywiązane za nogę i karmione mlekiem wielbłądziem. Na pastwiska dostają się dopiero z chwilą, gdy zdolne są już do odżywiania się trawą. Tu bawią się z niemi dzieci i od najmniejszych począwszy, kolejno coraz starsze, w miarę rozrostu żrebiąt, dosiadają je. Tym sposobem zwierzę uczy się nosić coraz większy ciężar.

Siodeł, cugli, strzemion, wszystkiego tego nie zna Beduin, zastępuje je prostą poduszką przypasaną popręgiem.

Konia rasowego, nawet zbytne przeciążenie za młodu nie marnuje. Z wykoszlawionemi nawet nogami, gdy dojdzie właściwego wieku, przebieży przestrzeń dzielącą granice Yemenu od brzegów Eufratu bez zmęczenia i utraty sił i zdrowia. Przyzwyczajony spędzać noce pod gołym niebem, bez dachu ani okrycia nad sobą, hartuje się od lat najmłodszych i wyrabia jak stal. Łagodne obejście się z koniem, wyrabia w nim równie łagodny, powolny człowiekowi temperament.

Zimą obrosły jak niedźwiedź, o kudłatych nogach, sprawiających wrażenie bezkształtnej kłody. *Keheilan* taki z pierwszym brzaskiem wiosny, pozbywa się nadmiaru sierści, która go przed zaziębieniem chroniła i staje w słońcu, pełen połysku, niby posąg wykuty z marmuru.

Konina jako pożywienie dla ludzi.

Na ostatniem zebraniu niemieckich Związków Tow. „Opieki nad zwierzętami“ w Karlsruhe, wygłosił p. Beringer z Berlina odczyt pod tyt: „Konina jako pożywienie dla ludzi“, który ze względu na żywotność tej kwestyi podajemy w streszczeniu naszym czytelnikom.

„Najbardziej oplakania godnem — mówi p. Beringer — pomiędzy naszymi zwierzętami domowymi i użytkowemi jest szlachetny koń, oddający ludziom z niezrównaną cierpliwością największe usługi, a znoszący w zamian za to daleko większe męczarnie, niż każde inne zwierzę. Dopóki koń jest młody i silny, pielęgnujemy go i oszczędzamy odpowiednio do kapitału, jaki przedstawia. Im więcej się jednak starzeje, im się staje mniej zdolnym do pracy, czyli im więcej wymaga oszczędzania i troskliwości, tem gorzej obchodzimy się z nim, tem więcej dręczymy go i zmuszamy do ciężkiej pracy, karmiąc go coraz gorzej. Z żadnem zwierzęciem nie obchodzimy się tak nieludzko, jak właśnie z dobrym, wiernym i cierpliwym koniem. — W wielu okolicach, a nawet krajach, istnieją przepisy policyjne, zabraniające pod mniej więcej wysokimi karami dręczenia koni. Cóż kiedy przepisy te tak mało bywają przestrzegane!

Jeden tylko istnieje skuteczny środek do zapobiegania nielitościwemu wyzyskiwaniu koni starych, niezdolnych do pracy, a mianowicie usunięcie przesądu, żywionego przez większą część ludzi do koniny, jako pożywienia. Skoro koń będzie uważany za zwierzę przydatne na rzeź, wówczas znikną z ulic naszych te biedne, zmęczone i pokaleczone zwierzęta, właściciel bowiem zyska daleko więcej, sprzedając niezdolnego do pracy swego konia rzeźnikowi, niż wyzyskując go jako zwierzę robocze do ostatniej chwili. Przy dzisiejszych cenach koniny, rzeźnik nawet za dobrze żywionego konia daje tak niską cenę, że strata dla właściciela konia przy sprzedaży byłaby zbyt wielką.

Zdaniem p. Beringera, jedynie niczem nieuzasadniony, nierozumny przesąd powstrzymuje dzisiaj jeszcze wielu ludzi od spożywania koniny. Nikt właściwie nie zdaje sobie sprawy, dla jakiej przyczyny odczuwa wstręt do tego mięsa. Każdy wie, że koń pod względem paszy jest najwybredniejsem ze wszystkich naszych zwierząt domowych. Przyjmuje on jedynie dobrą, zdrową paszę i czystą wodę, i raczej zdechłby z głodu, nimby się dotknął zgnilego wywaru, dawanego dość często bydłu i trzodzie chlewnej. Pod względem smaku konina tak mało się różni od wołowiny, iż często w restauracyach jemy koninę zamiast wołowiny i nie domyślamy się weale tego. Nie wiedząc o tem, chyba wszysej już spożywaliśmy koninę, mianowicie w postaci kielbasek. Używamy przecie zupełnie podobnego mięsa osłego i mulego w oryginalnem włoskiem salami jako przysmaku i pla-

cimy za nie drogo. Wstręt więc nasz do koniny nie jest niczem innym tylko przesądem, wyhodowanym w nas sztucznie. Podobny przesąd stawał jeszcze w zeszłym wieku na przeszkodzie rozpowszechnieniu się tak niezbędnych dzisiaj kartofli. Z humanitarnego punktu widzenia należy ubolewać głęboko nad tem, iż miliony ludzi żywią się kartoflami i innymi lichymi pokarmami, gdy wiele milionów najlepszego i najzdrowszego mięsa ginie bez żadnego pożytku dla konsumcyi. Najgubniejszym jednak w swych skutkach okazał się ten przesąd dla samych koni.

Zarówno doświadczenie, jak badania naukowe wykazały, iż konina jest najpożywniejszą ze wszystkich gatunków mięsa. Konina zawiera 74·50% wody i 25·50% substancyi suchej, wołowina 76% wody i 24·00% substancyi suchej, cielęcina 78·85% wody i 21·15% substancyi suchej. Gdy w wołowinie stosunek zawierających azot, wytwarzających mięso składników, przeważnie ciał białkowych, do wody i tłuszczu waha się pomiędzy 17 a 22%, w wieprzowinie pomiędzy 14 i 20%, w baraninie pomiędzy 15 a 17%, stosunek ten w koninie wynosi 19 do 24%. Z substancyi suchej w koninie przypada do 15% na azot, w wołowinie nie więcej niż 13·5%. Mianowicie bulion z koniny jest nadzwyczaj pożywny. Zawiera on dwa razy większą ilość rozpuszczonych azotowych składników, niż bulion wygotowany z takiej samej ilości wołowiny. Stąd też w wielu szpitalach karmią chorych bulionem z koniny.

Ślókawy cokolwiek posmak pochodzi z większej ilości glikogenu, substancyi zawierającej cukier, znajdującej się we wszystkich gatunkach mięsa, lecz w cokolwiek mniejszej ilości niż w koninie. Posmak ten daje się jednak odczuwać co najwyżej w mięsie gotowanym. Zresztą nie jest on przykry, tak samo jak charakterystyczny smak mięsa z jelenia lub innych ogólnie używanych gatunków mięsa. Starannie peklowane mięso niezbyt starego, dobrze karmionego konia wykazuje pod względem smaku i zapachu wielkie podobieństwo do gęsiny. Tłuszcz koński jest więcej płynny niż wieprzowy, prawie oleisty, a więc bardzo wydajny. Zawiera 4% stearyny i 96% olejny (tłuszcz wieprzowy 38 pre., względnie 62 pre.), a topi się już przy 30 stopniach Celsjusza (tłuszcz wieprzowy przy 40 stopniach). Zaznaczyć wypada jedną cenną zaletę koniny, a mianowicie, iż trzyma się ona daleko lepiej zarówno w stanie surowym jak gotowanym,

niż wołowina. Przedewszystkiem jednak przemawia za używaniem konia, jako zwierzęcia przydatnego na rzeź, względ, iż mięso jego jest najzdrowsze. Wielu chorobom napotykanym tak często u bydła rogatego i świń, a czyniącym mięso tych zwie, rząt tak niezdrowem i wstrętnem, jak węgry, trychiny i t. p., koń w ogóle nie podlega. Szczególniej owa choroba, której tak często podlega bydło rogate, gruźlica, u koni bywa napotykana nadzwyczaj rzadko, jak tego dowodzą następujące dane statystyczne:

W Królestwie Pruskiem zabito, podług urzędowego sprawozdania w okresie od dnia 1. kwietnia 1890 roku do 31 marca 1891 roku w 183 jatkach miejskich 483.721 sztuk bydła rogatego, w tej liczbie było dotkniętych gruźlicą 30.118 sztuk, czyli 1 na 16, albo mniej więcej $6\frac{1}{3}$ pre. W 431 jatkach końskich zabito w tym samym okresie 53.281 koni, z których było chorych na gruźlicę 40 sztuk, czyli 1 na 1.332, t. j. 0.08 pre.

Straty dla majątku narodowego, wynikające z marnowania koniny, są olbrzymie. Liczba koni w państwie niemieckiem wynosi podług ostatniego spisu 3.852.000 sztuk. Przyjmując jako średni wiek konia w Niemczech 15 lat, (we Francyi wiek ten obliczają na lat 10), ubywa rocznie 257.000 sztuk. Z tej liczby idzie na rzeź około 86.000 sztuk, lepsze gatunki służą na żywienie dla ludzi, gorsze na pokarm dla psów. Mięso więc 171.000 koni w znacznej części bywa zmarnowane bez żadnego użytku, w mniejszej bywa zużyte bez wielkich korzyści na cele techniczne. Waga rzeźna konia wynosi 5 centnarów; więc 860.000 centnarów jest rocznie zakopywanych w ziemię jako ścierwo a w nieznacznej części zużywane w fabrykach kleju i tp. Gdyby koninę sprzedawano na targach, jak mięso innych zwierząt domowych, cena cetnara podniosłaby się co najmniej do 40 marek. Straty więc wynikające z obecnie praktykowanego marnowania koniny wynoszą w Niemczech około 33 milionów marek. A dzieje się to w czasach, w których większa część ludności żywi się najnudniejszą strawą, w których chemicy wysilają się na wymyślanie najrozmaitszych surrogatów, w celu zapobieżenia brakowi artykułów spożywczych. Podług obliczenia znanego chemika prof. Voista, dorosła osoba wymaga średnio dziennie 250 gramów mięsa do swego wyżywienia. Gdyby więc nie istniał wstręt do koniny, marnowaniem rocznie mięsem końskiem mógłby się w Niemczech żywić milion ludzi.

Większe jeszcze znaczenie dla majątku narodowego posiada używanie koniny jako pekarmu dla ludzi przez podniesienie materiału końskiego. Dzisiaj płaci rakarz za padłego konia 10 do 15 marek. Rzeźnik natomiast już dzisiaj przy niskich cenach koniny płaci za konia przydatnego na rzeź 30 do 70 marek. Cena koniny wynosi w Berlinie od 10 do 30 fen. za funt; w Paryżu, odpowiednio do jakości od 20 fenigów (12 centów) do 1 maiki (60 centów). Dawniej we Francyi płacił rakarz za konia 15 franków i mniej, dzisiaj płaci rzeźnik od 80 do 200 fr. za sztukę. Materiał koński w Paryżu wykazuje od czasu zaprowadzenia konsumpcyi koniny nadzwyczajne ulepszenie. Używanie koniny jako pożywienia dla ludzi podniosło średnią wartość konia o 100 franków, co dla Francyi oznacza podniesienie ogólnej wartości materiału końskiego o 400 milionów franków. — Zbite, kulawe, pokryte ranami konie zniknęły od mniej więcej 20 lat z ulic miast francuskich. Dowodzą między innymi polepszenia się materiału końskiego badania, dokonane w latach 1866 i 1881 w Paryżu nad wagą zabijanych koni. W r. 1866 średnia waga rzeźna zabitego konin wynosiła 190 kilogramów, w 1881 r. 225 kilogramów.

St. B.

Zwierzęta barometrami.

Kapłani Rzymu i Grecyi, ze spostrzeżeń przeprowadzonych nad niektórymi gatunkami ssących i ptaków, przepowiadali lata urodzajne, lub klęsk głodowych. Jaką drogą zwierzęta dochodzą do zdolności przewidywania zmian atmosferycznych, tajemnicą jest do tej pory, być może, iż nagromadzona w atmosferze elektryczność oddziaływa na nie w sposób nam niedostępny. Faktem jest jednak, iż pierwsze miejsce wśród zwierząt-barometrów należy się człowiekowi.

Wiadomo, jakim reumatyzmy jego czulym bywają na zmianę powietrza probierzem. Deszcz latem, odwilż zimą podwajają dolegliwości cierpiących na długo. Czulymi barometrami są również kalecy.

Zwierzęta przepowiadają zmianę pogody na najrozmaitsze sposoby. Podczas gdy jedne tracą żywość wobec zbliżającego się deszczu, inne przeciwnie stają się w tym wypadku ruchliw-

szemi. Psy np. zdradzają oznaki zasnania, znużenia, szukają ciepłego kąta, gdy przeciwnie nierogacizna niepokoi się, przebiega z miejsca na miejsce, pomrukując nieustannie. Kot zachowuje się podobnie do psa, a już na pewno leczyć można na deszcz, ilekroć koty lub psy zjadają trawę, kaczki kwakają, lub krzyczą pawie.

Najdokładniejszym jednak barometrem wśród zwierząt jest ślimak. Mięczak ten dnie całe z upodobaniem przebywa w ciemnych, wilgotnych miejscach, nocą zaś żeruje, pojąc się przytem rosą. Gdy wszakże na deszcz się zanosi, ślimak czempredziej opuszcza cieniste kryjówki i rozpoczyna pełzać po murach i drzewach, jak gdyby się co rychlej z deszczem spotkać pragnął.

Pająki, które, jak większość zwierząt drapieżnych, żyją samotnie, lub co najwyżej parami, gromadzą się w razie zbliżającej się burzy tłumnie w miejscach otwartych, mimo, iż to je na niebezpieczeństwo nielada naraża.

Nicomylnym również przepowiadaczem pogody jest żaba. Skrzeczy ona głośniejsz i częściej za zbliżaniem się deszczu. Utrzymują nadto, iż w wypadkach tych ciemnieje na niej skóra. Czule są na deszcz i krety, w czasie bowiem tego ostatniego kryjące się przy ziemi owady łatwym stają się ich łupem. Dla tych samych przyczyn w porze dżdżystej jaskółki latają nisko.

Dr. Livingston opowiada, że plemię Betszuanów, lud, zamieszkujący południe i południowo-wschód środkowej Afryki i blisko spokrewniony z Kaframami, wierzy najzupełniej w zdolność, że się tak wyrazimy, barometryczną żab i ropuch. Deszczom padającym w okolicach tych, towarzyszą zawsze silne prądy elektryczne, owóż gatunek ropuchy tamtejszej, sześć cali długiej, nieomylnie zachowaniem się swoim zapowiada zbliżanie się burzy i ostrzega tym sposobem mieszkańców przed niebezpieczeństwem

Z pomiędzy innych zwierząt wymieniamy: labędzie, które ilekroć pod wiatr płyną, na pewno deszczu spodziewać się należy. Kawki przed burzą zmieniają lot swój, gołębie wcześniej, niż zwykle, wracają do gołębników. Niepokój, ogarniający tak dzikie, jak i domowe zwierzęta, ostrzega indyanina przed *mossumem* i *passatami*.

Wiadomo, iż wielbłąd, ów „okręt pustyni“, zawsze na czas zwraca uwagę przewodnika swego na zbliżającą się zamieć pia-

skową. Zwierzę w wypadkach takich niepokoi się, zwalnia biegu i co chwila z siłą wciąga w siebie powietrze i węszy.

Pliniusz młodszy w swojej „*Historia naturalis*“ wspomina o trzęsieniach ziemi, zapowiadanych przez dzikie ptactwo. Na długo przed zjawiskiem opuszczało ono zagrożone katastrofą okolice, powracało zaś po przejściu niebezpieczeństwa.

To samo spostrzeżenie robili później uczeni, a mianowicie w czasie wybuchu Cosequiny w środkowej Ameryce w roku 1835, połączonego z trzęsieniem ziemi.

Kolonistów Ameryki niepokój koni i bydła ostrzegał przed pożarem lasów i preryj.

Nie brak nam tedy barometrów, kręcą się dokoła nas tu i tam, jeno nie wszyscy umiemy ze wskazówek ich korzystać — coraz więcej naturę zastępując — sztuką.

Przymusowe szczepienie ospy.

Ustawa o przymusowym szczepieniu ospy w Niemczech otrzymała przy 1. czytaniu w „*reichstagu*“ w r. 1874 głosów 170 przeciw 120, w 2. 160 przeciw 130. a przy 3. głosowaniu została przyjęta głosami 150 przeciw 140. Gdyby było jeszcze czytanie czwarte, byłaby niezawodnie odrzuconą. Dziś gdyby taki projekt przyszedł pod obrady, odrzucony by był ogromną większością. Co innego jest zniesienie przyjętej już ustawy. Zachodzą tu szczególne trudności. Tu tylko wyświejcenie całej sprawy pomódz może. Owoce, a raczej szkody, jakie ta ustawa wyrządza działają ku temu celowi najlepiej. Z każdym powrotem wiosny i szczepienia wiosennego, wracają także i bolesne doświadczenia regularnie w całej pełni.

Radca sanitarny Dr. Bilfinger, przytacza w swoim homeopatycznym piśmie miesięcznym mnóstwo faktów, a jeden między innymi, bardzo charakterystyczny. W pewnym wypadku spowodowało szczepienie i śmierć. Nie pociągnięto jednak za to lekarza, tylko niešťczęśliwą matkę zabitego dziecka, gdyż według zdania lekarza, miała ona je zaniedbać i tem śmierć spowodować. Na szczęście prokurator w Stuttgardzie był innego zdania i śledztwo zastanowił. Według zeznań sąsiadek, matka wychowywała dziecko wzorowo i bardzo troskliwie w chorobie go pielęgnowała. Należałoby tedy zwrócić się w inną stronę, a mianowicie przeciw niedbalstwu lekarza, lecz tego nie uczyniono.

Drugi wypadek. W *Deutsche Warte* czytamy :

„Gdy kto w niemieckiem państwie walczył i w takiej walce przeciw gwałtowi i głupocie cierpiał, to pewnie jest nim J. Butterbrodt. Nie tylko zniósł on w czasie prześladowania jego dzieci w celu przymusowego szczepienia ciężkie więzienie jakoteż w walce przeciw

samemu szczepieniu 9 tygodni więzienia, musiał jeszcze nadto zapłacić 1000 marek grzywny, dalej uznany przez władzę za obłąkanego potem przez trzy miesiące przez psychiatrów badany i obserwowany, a wreszcie za obłąkanego uznany. Potem zamknął mu dyrektor policyi Dr. Gerland w Hildesheim jego sztuczną, parową hodowlę szampionów, wreszcie zakazano mu leczyć chorych w swym zakładzie, przez co stracił najmniej 12.000 marek i został bez chleba. Poniósłszy tyle strat i straciwszy zaufanie u współobywateli, nie mógł obowiązkom swoim względem wierzycieli zadość uczynić i magistrat sprzedał jego grunt w drodze przymusowej.“

S z e c h i t a .

Sprawa szechity czyli rytualnego zarzynania wołów u żydów przyjdzie wkrótce pod głosowanie całego ludu szwajcarskiego. Liczbę prawnie wymaganych 50.000 podpisów, już o wiele przekroczono i teraz musi nastąpić głosowanie. Nie ma wątpliwości, że ogromna większość ludu szwajcarskiego uchwali, że szanowanie ustaw krajowych przez obywateli żydów tak samo będzie dla nich obowiązującym, jak i przez obywateli chrześcian.

Wyścigi między Wiedniem a Berlinem.

„Wiek XIX. nie ma wedle prawa spoglądać z pogardą na wieki średnie, wieki barbarzyństwa i okrucieństw.“

W pierwszych dniach października odbyły się między oficerami austriackimi a niemieckimi wyścigi na odległość między Wiedniem a Berlinem. Rozumie się, że w tych wyścigach nie biegali oficerowie, lecz ich nieszczęśliwe konie.

Oto tak opisują dzienniki wiedeńskie tę okrutną zabawkę:

„Onegdaj (dnia 6. października) rozeszła się w Wiedniu wieść, że pierwsi jeźdźcy ze strony niemieckiej zbliżają się już do celu. W jednej chwili rozpoczęła się tłuma emigracya wiedeńczyków do Floridsdorfu. Już o godzinie 2 po południu ztłoczona masa pierwszych widzów otaczała metę, a powozy odbywały *corso* po gościńcu. Po obu stronach drogi ciągnęły się daleko szpalery ciekawych. Nie brakło widzów, którzy uzbrojeni w błyskawiczne przyrządy fotograficzne, wyczekiwali przybycia zwycięzców, pragnąc pochwycić ich podobiznę „w locie“. O godzinie 4 cała ta masa publiczności drgnęła, jakby ją przebiegł prąd elektryczny. „Już jadą! już jadą!“ szła wieść lotem błyskawicy i nagle rozpoczęła się dzika bieganina. Wszyscy zapragnęli znaleźć się u mety. Piesi tłoczyli się, popychali, padali, wstawali i znów biegli. Między powozami wywiązał się także szalony wyścig. Wreszcie nadlecieli jak huragan cyklisci, bez których teraz już żadne wyścigi, żadna uroczystość publiczna obejść się nie może. W pędzie wskazywali oni ku łące, na prawo od gościńca. Rzeczywiście ujrzano



tam dwóch galopujących jeźdźców i wkrótce u mety stanęli... dwaj oficerowie austriacy, którzy wyjechali na zwiady. Takie fałszywe alermy powtarzały się jeszcze kilka razy. Wreszcie poczęło się ściemniać, zapalono więc elektryczną lampę. O godzinie 7 minut 38 podniósł się okrzyk: „To oni!“, tym razem naprawdę byli oni. Z ciemnej przestrzeni dolatał tętent kopyt końskich, potem w sferze elektrycznego światła błysnęła płaska biała czapka i u mety zjawił się pierwszy jeździec niemiecki książe Fryderyk Leopold, a tuż za nim porucznik Heyl. Wśród widzów powstał nieopisany entuzjazm. Mężczyźni, kobiety, wszyscy krzyczeli i wymachiwali rękami, jak w mialignie. Na księciu Fryderyku i na jego koniu znać było wielkie zmęczenie, natomiast porucznik Heyl z koniem wyglądali tak, jakby sobie niewiele robili z przebytych trudów.

Publiczność berlińska i oficerowie zgotowali entuzjastyczne przyjęcie porucznikowi Miklosowi, który tam przybył jako pierwszy jeździec ze strony austriackiej, dowiódł on niesłychanej wytrwałości. Jak bowiem już donosiliśmy, upadł on wraz z koniem, co pozwoliło Csavassemu wyprzedzić go. Jednak Miklos dosiadł znów konia i dopędził swego współzawodnika w Hoyerswerda. W Baruth Csavassy czuł się tak zmęczonym, że musiał zatrzymać się; Miklos zaś, choć potłuczony silnie, ze zranionem kolanem, nie odpoczywał wcale i w szybkim truchcie zdążył do celu.

Te nadzwyczajne wysiłki odbiły się boleśnie na gniadej jego klaczy „Marcsa“. Boki jej dosłownie poszarpane ostrogami, a buty jeźdźcy były całe zbroczone jej krwią.

Koleją do Floridsdorfu przybył rotmistrz dragonów niemieckich hr. Dohna i zameldował komitetowi wyścigowemu, że konia zostawił w Stokerau, gdyż zachorował mu w drodze. Oficerowie austriacy i niemieccy radzili mu, aby powrócił po konia i przecież spróbował na nim dojechać do mety. Dohna usłuchał tej rady, wrócił do Stokerau i o godzinie 1. w południe stanął na swej gniadej klaczy „Flüchtig“ u mety. Kilka kroków za metą jednak upadła klacz przeniesiono ją do stajni, gdzie za kilka godzin zginęła.

Polscy jeźdźcy, którzy w XVII. wieku byli najlepszymi w Europie, w tym wyścigu zajmują miejsce na szarym końcu, najlepszy bowiem z nich hr. Łubieński uzyskał zaledwie 25 nagrodę, a drugi Lasocki, zajmuje aż 43 miejsce z rzędu.

Ocaj pierwsi zwycięzcy, hr. Stahremberg i porucznik niemiecki hr. Reitzenstein utracili swe konie, na których wyścig odbyli, gdyż zarówno koń „Athos“ hr. Starhemberga, jak i klacz „Lippspringe“ hr. Reitzensteina, padły w kilka godzin po przybyciu do mety.

Dzienniki wiedeńskie opisują w ten sposób „Lippspringe“, klacz bar. Reitzensteina po przybyciu do Wiednia:

„Tylko skóra i kości. Bez życia, ze spuszczoną głową i nawpół przymkniętym okiem stało biedne zwierzę. Po bokach wystąpiły narznięcia, ma wiele ran od ostróg, a także i od uderzeń szpicrutą. Jednej podkowy brak zupełny, z drugiej brak połowy. Zwierzę okryto kocami, aby zaprowadzić do blisko położonej stajni, atoli wszelkie

usiłowania, aby je ruszyć z miejsca okazały się daremnymi. Gdy zaczęcano je gestami do poruszenia się, wyciągnąć chciało głowę, ale omal że nie przewróciło się. Kilku ludzi musiało je podtrzymać. Wreszcie przyszło dziesięciu rozpoczęło je posuwać atoli po kilku krokach biedne zwierzę upadło, nie dając żadnego niemal znaku życia. Oczy miało zamknięte. język zwisał z pyska. Wlano mu koniak i rozpoczęto nacierać. Nic jednak nie pomogło. Wreszcie po wstrzyknięciu morfiny przyszło do siebie i po niejakim czasie przyjęło trochę pokarmu. Dotychczas biedny koń jeszcze żyje “

Ogółem przybyło do Wiednia 71 jeźdźców niemieckich. Z 116 jeźdźców 24 ustąpiło skutkiem wypadków z końmi.

Z wyjątkiem jednego wszystkie wierzchowce zginęły podczas drogi

Ostateczny rezultat jazdy na odległość przedstawia się następująco :

	record	marek
1. austr.-węg. por. hr. Starhemberg	71:34	m. 20.000
2. niemiecki por bar. Reitzenstein	72:06	" 10.000
3. austr.-węg por. Miklos	74:24 ^{1/2}	" 6.000
4. " podpor. Höfer	74:32	" 4.500
5. " podpor. Csavassy	76:07	" 3.500
6. " por. Muzyka	77:26	" 3.500
7. " por, Hinke	77:35	" 2.500
7. " podpor. Jakób Scherber	78:05	" 2.000
9. niemiecki podpor. Thaer	78:17	" 1.800
10. austro-węg. por. Schmidt	79:05	" 1.600
11. niemiecki por. Kronenfels	79:07	" 1.400
12. " kapitan Förster	79:44	" 1.200
13. austro-węg. podpor. bar. Kielmanseg	79:57 ^{1/2}	" 1.000
14. " por. hr. Bathyany	80:—	" 900
15. " podpor. H. Scherber	80:24	" 800
16. " pod or. Schram	80:42	" 700
17. niemiecki podpor. Johannsen	80:47	" 600

i tak dalej.

Na wątpliwy rezultat tych wyścigów tak się zapatrują niemieckie dzienniki :

Przeciwno jeździe na dystans umieścił Maksymilian Harden (ostatnimi czasy znany z swego interwiewu z arcyb Stablewskim) w świeżo w Berlinie wydanem czasopiśmie *Die Zukunft* (Przyszłość) następujący artykuł :

„Gdyby tylko starczyła skórka za wyprawę! Natura stworzyła zwierzę, które przy tem „wyprawianiu skórki“ zawsze musi być obecne i zawsze na tem wychodzi jak najgorzej Zwierzęciem tem jest koń. Jeżeli się ludy okładają albo do tego okładania się przygotowują, w bitwach i na zgromadzeniach kontrolnych, konia nigdy nie braknie. Gdy bydo rogate lub nierogacizna, gdy baran i owca i drób wszelaki wesoly i szczęśliwy prowadzą żywot, biedny koń musi sobie na owies zarobić w pocie czoła. Bity na śmierć, on na polach chwały

pada od kul, im starszy, im bardziej wynędzniały, im słabszy, tem większego udęczenie staje się przedmiotem.

Wprawdzie i on ma swoją chwałę. Przodkowie szlchetnego rodu jego sięgają w czasy zamierchłej przeszłości, poeci Arabii i lordowie Anglii wypiewują na jego cześć najpiękniejsze swe pieśni, a w cyrku obsypują go oklaskami. A cóż dopiero ta jazda na dystans: Tutaj ma oto najszlachetniejsze z zwierząt pokazać, że żadne stworzenie boże nie spełnia tak swego obowiązku, jak ono, że szkapina nie prędzej pofolguje nogom swoim, aż ostatniego nie wyda tchnienia. Umrzeć za wielką sprawę, czyż może być coś piękniejszego? Wprawdzie powiadają, że w czasie kolei żelaznych nie wiele przedstawia wartości doświadczanie konia co do jazd forsownych, których w życiu praktycznym nigdy się nie żąda, ale któż jest temu winien, że Spreja i Dunaj tak daleko od siebie oddalone? A nasi wiedzą przecież panowie, którzy rzemiosło swoje bardzo dobrze rozumieją, którzy od pierwszego do ostatniego bardzo dobrze wiedzą, ile koń a specjalnie ich koń zrobić może na dzień; którzy dokładnie czują, kiedy jest zmęczony i którzy zatrzymują się pod bramami Wiednia, spostrzegłszy, że dźwiga ich szkapisko blisko końca. Naturalnie, są także konie leniwe, którym trzeba surowo przypominać ich obowiązek. Przedsięwzięciu, jednoczącemu narody, służy bowiem za podstawę wielka omyłka. Nazwano całą tę historję „jazdą na dystans“, gdy tymczasem jest ona właściwie „jazdą na wyścig“. Jazda na dystans polega na tem, że doświadczony jeździec przebywa na dzielnym koniu w moźliwie najkrótszym czasie przestrzeń daleką. Przytem dobrem jego staraniem powinno być to, aby do celu z absolutnie zdrowem przybył zwierzęciem, które, przyszedłszy do celu, mogłoby rozpocząć nowe, wielkie trudy. Bo czyż może pułkowi cośkolwiek zależeć na tem, ażeby prędko przebyć drogę od Sprei do Renu, a potem mieć pod sobą konie upadające, do niczego już więcej niezdolne? Najzdolniejszymi zatem czynnikami przy tego rodzaju próbach są: koń naprawdę dobry, rozumny, ludzki jeździec i wielkie doświadczenie co do tego, ile koń wydolać może. Jeżeli się w drodze okaże, że próba udać się nie może wówczas jeździec z konia schodzi i rzecz swą rozpoczyna nową.

Podczas wielkiej jazdy na dystans pomiędzy Berlinem a Wiedniem nie wypełniono jednego z tych warunków. Była to jazda na śmierć lub życie — koni, wyścig, jakiego dotychczas, przy takiej odległości i przy tak ponętnej nagrodzie w złocie i sławie, jeszcze nie było, konie, które w tej jeździe na dystans brały udział, w najmniejszej tylko części dorosły tylko zadaniu takiemu, a w jaki sposób ta najmniejsza część to zadanie spełniła, o tem doniosły pisma fa-chowe.“

W tym samym duchu, jak *Przyszłość*, wyraża się większa część prasy londyńskiej; z wielką stanowczością zaprotestowały *Daily News* oraz *Daily Chronicle* przeciwko dręczeniu zwierząt, jakie było następstwem tej nieszczęśliwej, barbarzyńskiej jazdy.

Wiedeńska *Sonn- und Montags Ztg.* pisze w tej samej kwestyi :

„Że dobry, drogi koń może być zapomocą ostróg i rajtpajcza lub kańczuga zmuszonym do nadzwyczajnego wysiłku i że w stosunkowo krótkim czasie może przebyć nadzwyczajne przestrzenie, to nic nowego i zostało już niejednokrotnie w chwilach wielkich wzruszeń wojennych udowodnionem. Co więc hr. Starhemberg i br. Reitzenstein zrobili, to zrobiono już dawniej niejednokrotnie ze strony innych jeźdźców, jeżeli tego ostateczna wymagała potrzeba. Tego rodzaju „kraftszyki“ będą dokonywane i w przyszłości, jeżeli tego rzetelna zajdzie potrzeba. Czy atoli wskazanem jest, ażeby tego rodzaju straszliwego gwałtu dopuszczano się na zwierzętach jedynie dla celów sportowych, co do tego mogą być zdania podzielone. Na niektórych entuzjastów jazda na dystans takie wywarła wrażenie, że mówią o potrzebie powtórzenia tej jazdy na rok przyszły. Prosilibyśmy aby dano sobie spokój z tego rodzaju zabawkami.“

Przeciw temu dręczeniu koni założyło protest reńsko-westfalskie towarzystwo dla ochrony zwierząt. Wybrana w tym celu komisya uchwaliła; wnieść publiczny protest przeciw poszczególnym jeźdźcom i ogłosić go w pismach, następnie wnieść osobną petycję do parlamentu i postarać się o usunięcie tego rodzaju zabaw.

Litość nad zwierzętami.

(Z Wiktora Hugo).

Zarumienione ciężkie kłęby chmur, otaczały krwawo zachodzące słońce. Przez cały prawie dzień srożyła się burza i dopiero ku wieczorowi, szalony wichur uspokoił się, rozprószył tumany deszczowe, a na błękitnie zaczęły się ukazywać promieniste i drżące światelka. Jaskrawy zachód słońca, barwił wszystko do koła odbłaskiem złota i krwi. Drzewa i krzewy, szumiąc jeszcze opadającymi kroplami deszczu, migotały w purpurowych odbłaskach. Rozgałęzione korzenie czerwieńczyły się u podstawy drzew, a nawet błotnista kaluża, tworzyła jakby tężowe zwierciadło, wśród ram z kwiatów i zieleni. Wolno zapadający mrok, rozwijał uroczą sztandar zbliżającej się nocy, pod którego osłoną, słabym już tylko dźwiękiem, rozbrzmiewał świergot ptasząt

Tuż około rowu przepelnionego wodą deszczową pełzała ropucha. Wstrętny widok! Ropucha niezwyklej wielkości; prawie ślepa, o jednym tylko oku, które wlepila nieruchomo w blask zachodzącego słońca. Cisza panowała do koła. Nędzne to i wstrętne stworzenie, może było szczęśliwem w tej chwili. Pod tym wielkim obszarem nieba, nie wstydziło się bowiem swojej brzy-

doty, a może i nie czuło kalectwa. I pewnie jak każda inna istota, pojmowała, że jest w związku z nieskończonością wszech rzeczy, a patrząc w to gwiaździste niebo, odgadywała instynktem, że i dla niej płynie stamtąd spokój i bezpieczeństwo. Jak daleko sięga zmysł pojęcia u stworzenia, któż to może odgadnąć?... A może wśród tej uroczystej ciszy, nędzna ropucha zapatrzona w gwiazdy, hołdowała po swojemu wspaniałej naturze — zwierzęta drobne i pelzające, pomimo swej małości obejmują jednak wzrokiem, nieskończoność horyzontu.

Tuż około ropuchy, przeszedł człowiek, szepejąc półgłosem wieczorne pacierze. Spostrzegłszy na swej drodze, wstrętne to stworzenie, zatrzymał się — podrażnił nieco nogą, a w końcu nadeptał jej na głowę, łaską przewrócił na grzbiet i poszedł dalej. Za nim podążała młoda i ładna kobietka, zalotnie przybrana bukietem przy staniku. Zdawało się, istny anioł z nieba, z całym zasobem niebiańskiego miłosierdzia. Zatrzymała się przed ropuchą, popatrzyła na nią przez chwilę i koniec swej parasolki, wtoczyła w jedyne oko biednego stworzenia. Szybko odbiegła, nie obejrawszy się nawet za swoją ofiarą. W kilkanaście minut potem nadleciało z hałasem czterech chłopczyków wracających ze szkoły. Śmiechy rozlegały się dokoła; drwinki żarciki i swawola szczęśliwej dziatwy, krzyżowały się jak błyskawice. Ropucha może z bólu, może ze strachu, wiedziona zachowawczym instynktem, czołgała się powoli, szukając dla swej nędzy schronienia.

— Hola! — krzyknął jeden z chłopców, zastępując jej drogę. — Nie pójdziesz dalej poczwaro! — W mgnieniu oka czterech urwiszów otoczyło ropuchę, a każdy z nich jak mógł, i czem mógł, drażnił biedne stworzenie.

— Zabiję ją!... nie... nie ty! ja! ja pierwszy ją spostrzegłem... ja zabiję! — krzyczeli chłopcy jeden przez drugiego, radzi, że im się nadarzyła sposobność dręczenia pierwszego lepszego stworzenia. — Zaczekajcie jeszcze — odezwał się najstarszy. Cóż będziemy robić, jak ją zabijemy? Pobawmy się jeszcze trochę... i dalejże szturchać, popychać, przewracać ropuchę. Przechodzący drogą ludzie, zatrzymywali się i wybuchali śmiechem, ze złośliwych figlów chłopców i z biernego poddania się ich ofiary. Nikt nie zganił im okrucieństwa, którego się dopuszczali!...

— Dość tej zabawy! Zabijmy ją już! — zawołali jednogłośnie. — Obrzydliwe stworzenie, — i śmiejąc się (dzieci zwykle ze śmiechem, dręcząc zwierzęta), z nowym zapalem rzucili się na ropuchę. Za każdym uderzeniem tryskał strumień krwi, a białe pieniste bąble występowały około pyska! — Oh! patrzcie, jak się to pieni ze złości! — Wrzeszczały dzieci.

Z rozerwionymi licami, z włosami rozwianymi wiatrem, z iskrzącymi oczami, niesforna drużyna, istnych małych oprawców, śledziła każdy ruch ropuchy, jak się śledzi bieg piłki lub wir bąka.

Nieszczęśliwe stworzenie, korzystając z chwilowego wypoczynku, napastników, usiłowało podążać w zarośla. Przykry widok!... Głowa rozmiądzona — jedna noga oberwana — oko sterzące po nad wklęsłością — drugie zapadłe, tułów w krwawych ranach! bezsilna, ropucha z trudem doczołgała do kałuży i zanurzyła się w błocie. Być może czuła zbliżającą się swoją ostatnią godziną — być może pragnęła jej nawet, ale chciała zginąć w spokoju i bez męczarni.

Chłopców bawiła ta ostatnia jak mówili podróż ropuchy, postanowili bowiem, rzucić za nią wielki kamień do kałuży i tym sposobem zadać jej cios ostatni.

Jeden ze swawolników pobiegł szukać kamienia. W tejsze chwili ukazał się na gościńcu ciężki wyładowany wóz, ciągniony przez chudego, kulawego, wycieńzonego do skóry i kości osła.

Istny obraz nędzy i rozpacz, każde stąpienie zwierzęcia zdawało się być ostatniem, gdy tymczasem ciężkie zadawane mu razy do nowych i bolesnych zmuszały wysiłków. Droga była ciężka, koła skrzypiały i ryły się w głębokich błotnistych kałużach, woźnica klął bez miłosierdzia i z zaciętością, co chwila smagał batem; cierpliwe stworzenie zносиło ciężar i plagi jakby w niemej pogrążone zadumie — owej milczącej zadumie zwierząt, której treść pozostanie na wieki dla ludzi tajemnicą.

Chłopcy usłyszawszy turkot i skrzypienie kół — wykrzyknęli: „Nie potrzeba już kamienia! poczekajmy chwilę — wóz przejedzie ropuchę — będzie jeszcze zabawniej!“... W oczekiwaniu katastrofy usunęli się wrzaskliwie na bok. Wóz przybliżył się do kałuży. Osioł z łbem pochyłym, dostrzegł zapewne na swej drodze ropuchę i już — już miały koła potoczyć się i spełnić wyrok swawoli, gdy nagle osioł, pomimo ciężkich razów zatrzymał się — spojrzął na stworzenie, które pewnie wię-

cej jeszcze od niego cierpiało — spuścił łeb koło kaluży, jak gdyby chciał to pokaleczone ciało obwąchać, i niewzruszony ani krzykiem ani bólem woźnicy, całą siłą na jaką mógł się jeszcze zdobyć, skręcił na bok, w ten sposób, że wóz potoczył się tuż — tuż około ropuchy nie dotknąwszy jej wcale.

W tejże samej chwili, z drobnej ręki dziecka, wypadł ciężki kamień na ziemię, a jeden z czterech chłopców, a mianowicie ten, który to opowiedział, usłyszał głos tajemniczy jakby z lazurów nieba płynący: „Bądź miłosiernym dla wszelkiego stworzenia, bo ono tak jak ty i czuje i cierpi!“ (*Przyj. zwierząt.*)

Natalja Bogowolska.

Ptaszkowie Matki Boskiej.

W powieści Sienkiewicza „Potop“ czytamy następujący ustęp: Kiedy już Szwedzi odgrązali się, że całą fortecę w powietrze wysadzą i trwoga już zaczęła opanowywać większą część załogi Jasnej Góry, uczynił się dziwny znak. Oto nagle naokół rozległ się szum skrzydeł i całe stada zimowych ptaszyn pojawiły się na podwórzu fortecznym i coraz nowe nadlatywały z okolicznych wygłodzonych folwarków, więc szare śmieciuszki, trznadłe o złotej piersi, ubogie wróble, zielone sikorki, krasne gile poobsiadały załamania dachów, węgły, odrzwia i gzymsy kościelne; inne kręciły się różnobarwnym wieńcem nad głową księdza, furkając skrzydełkami, świegocąc żałośnie, jakoby o jałmużnę prosiły i nic nie obawiając się ludzi.

Zdziwili się na ten widok obecni, a ks. Kordecki modlił się przez chwilę, wreszcie rzekł:

„Oto ptaszkiwie leśni pod opiekę tej Matki Boskiej się udają, a wy zwątpiliście o jej mocy“.

Przysmaki chińskie.

W ostatnim numerze londyńskiego miesięcznika „*Ateneum*“ spotykamy artykuł p. Bentinek, poświęcony kucharstwu chińskiemu. Dowiadujemy się z niego, że kiedy np. w Europie mięso psa uważa się za niezdatne do jedzenia, w Chinach przeciwnie tuczą psy na pokarm dla ludzi. Szczególniej bardzo poszukiwane są ślepe, ale tłuste małe szczenięta. Chińscy smakosze spożywają je oblane przyrumienionym olejem rycynowym. Koty również są uważane za przysmak, trzymają je na łańcuszkach, celem pozbawienia ruchu, by się pręcej i lepiej utuczyły. Ale najbardziej godne uwagi że szczur zajmuje znakomite miejsce wśród chińskich przysmaków — obmyślono nawet po folwarkach sposób licznych wychowania tych zwierzątek przez stawianie szczur-

ników. Wśród ścian z cegły umieszczają szeregi szklanych butli z szerokimi szybkami, tak umocowanych, że naśladowują szczeliny, w których szczury lubią się gnieździć. W każdej takiej butelce, wyrasta szybko nowa rodzina, a właściciel niekiedy może obliczyć swój inwentarz, i wybierać najtłustsze sztuki do zabicia. Para tłustych szczurów w kantonie lub innym wielkiem mieście Państwa Niebieskiego kosztuje przeciętnie $5\frac{1}{2}$ franka.

Dalej w szeregu przysmaków u Chińczyków spotykamy ropuchę — najbardziej poszukiwane na targach, są żywione ryżem. Podawane one są na stół ze wszystkim, podobnie jak u nas kwiczoły. Po ropuchach następują pijawki, bez których żadna wykwintna uczta w Chinach się nie obejdzie, poczwarki i gąsienice różnych owadów są zwyczajnym pokarmem ludności.

Do zbytowych potraw należą gniazda jaskółcze, a zwłaszcza ich część wewnętrzna, przejęta nawskróś rodzajem lepkiej śliny jaskółek, której one używają przy budowie owych gniazd. Używane są one na zupe, a porcyą jej w jadalniach chińskich kosztuje 20 franków. Mleka krowiego nie używają wcale, jakoteż masła i sera, za to mleko kobyłe, osłe i wielbłądzie cieszy się wśród Chińczyków wielkiem uznaniem. Mięso cielece budzi u nich dziwny wstręt i nie mogą się wydziwić Europejczykom, że ci takowe jedzą. Najpowszedniejszym pokarmem ludności jest ryż, który spożywają w rozmaity sposób przyrządzony. Na stołach bogaczy i mandarynów podają ryż czerwony, który jest niezem innym, jak zwykłym ziarnem zbutwiałem przybierającym po ugotowaniu barwę różową. Ryż taki nazywa się mandaryńskim, i pod karą śmierci nie wolno go wywozić po za granice państwa.

Gospodarstwo.

Obrachowanie paszy i ściółki. Ukończywszy żniwo i zebrawszy drugi pokos koniczyny oraz potraw z łąki, możemy już obrachować, ile mamy paszy i ściółki dla bydła. Rachunek taki powinien przeprowadzić każdy dobry gospodarz, ażeby mógł wiedzieć, czy ma zapas dostateczny paszy i słomy, potrzebny do przezimowania tej ilości bydła, jaką utrzymuje obecnie. W przeciwnym razie, jeżeli paszy tej jest za mało, powinien sprzedać jaką krowę lub jałówkę, ażeby nie narazić pozostałe sztuki na głód, a ze sprzedażą tą nie wyczekiwać zbyt długo, gdyż w późnej jesieni lub na przednowku ceny bydła bywają zwykle znacznie niższe. Za uzyskane ze sprzedaży pieniądze można dokupić otrąb dla bydła, które żywione dobrze da przy mniejszej swej ilości większy pożytek, aniżeli gdyby liczba jego była większą, lecz źle karmioną.

Obrachowanie ilości słomy, siana lub koniczyny, które zebraliśmy, jest bardzo łatwe, jeżeli wiemy, ile kóp zboża i fur paszy zwieźliśmy do stodoły lub brogu. W tym celu musimy zważyć słomę przynajmniej z jednej kopy każdego zboża, gdyż snopy nie każdego roku są jedna-

kowej wielkości. Również należy wywiązać i zważyć siano lub koniczyne z jednej fury o przeciętnej wielkości, jeżeli nie wiemy już z doświadczenia, ile ona zawiera zwykle cetnarów. Porachowawszy więc wagę słomy z jednej kopy każdego zboża, albo też siana z jednej fury tyle razy, ile kóp lub fur zebraliśmy z pola, będziemy mieli ilość całego zbioru.

Rachunek ten wyjaśni nam dokładnie następujący przykład:

Przypuśćmy, iż zebraliśmy 36 kóp różnego zboża, a mianowicie: Żyta 7 kóp o wadze z 1 kopy po 250 klg., czyli razem 1750 klg. Pszenicy 8 kóp o wadze z 1 kopy po 240 klg., czyli razem 1920 klg. Jęczmienia 9 kóp o wadze z 1 kopy po 220 klg., czyli razem 1760 klg. Owsa 7 kóp o wadze z 1 kopy po 230 klg., czyli razem 1610 klg. Grochu 4 kopy, o wadze z 1 kopy po 200 klg., czyli razem 800 klg. Ogółem 7840 klg., czyli rachując okrągło 78 cetnarów podwójnych.

Siana i koniczyzny zwieźliśmy 3 wozy, każdy po 5 cetnarów podwójnych, co czyni 15 cetnarów podwójnych.

To stanowi cały nasz zbiór słomy i paszy, ileż na niej potrafimy utrzymać bydła przez 6 miesięcy zimowych po odtrąceniu ściółki potrzebnej także i w lecie?

Ażeby na to odpowiedzieć, powinniśmy przedewszystkiem wiedzieć, ile każdej posiadanej przez nas paszy musimy dać codziennie krowie lub cielnej jałowce.

Jedna zwykła krowa krajowa, jeżeli nie ma schudnąć przez zimę i stracić zupełnie mleka, powinna dostawać co najmniej po 2 kilogramy siana i po 8 kilogramów dobrej słomy, a oprócz tego 1 kilogram otrąb lub ospy. Byłoby bardzo pożądanem i korzystnem, gdybyśmy mogli dodać jeszcze każdej krowie dojnej po parę garncy buraków lub marchwi, ale jeżeli ich nie mamy, to musimy poprzestać na tej paszy, jaka jest, dokupując przynajmniej otrąb, albo też mieląc na ospę zboże odjemne lub owies.

Oprócz tego trzeba zostawić słomę na pościółkę na cały już rok, rachując na 1 sztukę przynajmniej po 3 kilogramy dziennie w zimie, a 2 kilogramy w lecie.

Tym więc sposobem będzie potrzebowała 1 krowa:

Słomy na paszę: dziennie po 8 klg., czyli miesięcznie 240 klg., a przez 6 miesięcy 1440 klg. *Słomy na pościółkę:* w zimie dziennie po 3 klg., czyli miesięcznie 90 klg., a przez 6 miesięcy 540 klg.; w lecie na pościółkę po 2 klg., czyli miesięcznie 60 klg., razem 900 klg. Ogółem trzeba słomy dla 1 krowy rocznie 2340 klg., czyli około 24 cetnarów podwójnych.

Siana lub koniczyzny po 2 klg. dziennie, czyli miesięcznie 60 klg., a przez 6 miesięcy 360 klg.

Otrąb dziennie po 1 klg., czyli miesięcznie 30 klg., a przez 6 miesięcy 180 klg.

Ponieważ więc mamy słomy 78 cetnarów podwójnych, a dla ednej krowy trzeba około 24 cetnarów podwójnych, przeto słoma,

którą mamy, wystarczylaby dla 3 sztuk bydla i zostaloby jeszcze okolo 6 cetnarow podwojnych na zapas.

Siana mamy 15 cetnarow podwojnych, a gdy jedna krowa potrzebuje go przez zime 360 klg., to dla 3 sztuk potrzeba 1080 klg., czyli okolo 11 cetnarow podwojnych, zatem pozostaje nam jeszcze 4 cetnary metryczne.

Pozostaloscia ta: 6 cetn. podw. slomy i 4 cetn. podw. siana nie mozemy juz przezimowac czwartej krowy, szczegolnie ze względu na slome, ktorej 1 sztuka, jak wykazanem jest wyzej, potrzebuje okolo 4 razy tyle; mozemy przezimowac jednak jalowke roczna lub tez dwoje cielat, ktore potrzebują wiecej siana nizeli slomy, oraz dodatku owsa.

Jeżeli więc mamy więcej bydla, nizeli pasza naszą utrzymać mozemy, to należy albo dokupić brakujacą ilosc slomy lub siana, albo tez sprzedac reszte sztuk, pozostawiając tylko 3 krowy i 1 jalowke, albo dwoje cielat, a uzyskane z tej sprzedazy pieniadze użyć na zakupno otrab, ktorych potrzebujemy dla kazdej krowy po 180 klg., czyli dla 3 krow na cala zimowle 5¹/₂ cetnarow metrycznych.

Jeżeli jednak mamy więcej siana, jak tego wymaga konieczna potrzeba, a przytem mniej slomy, to mozemy zamiast 2 klg. dawac na sztukę bydla dziennie po 2¹/₂ lub 3 klg. siana a natomiast ujac dwa razy tyle slomy, ile siana przyczynimy, co w kazdym razie bedzie korzystnym dla bydla.

Skracając powyższy rachunek, powiedziec mozemy ogólnie iż dla kazdej doroslej sztuki bydla potrzebujemy na przezimowanie przynajmniej po 3¹/₄ do 4 cetn. podwojnych siana, po 24 cetn. podwojnych slomy, wraz ze ściółką przez caly rok, i blisko po 2 cetnary podwojnych otrab.

Oczywiście, iż po przeprowadzeniu takiego rachunku musimy przestrzegac bardzo dokladnie, azeby siano i sloma byly zawsze związane na porcye i odważone i zeby nie dawac dziennie ani na karmę ani na pościółkę wiecej, jak postanowiliśmy, gdyż w przeciwnym razie pasza ta nie wystarczy, wskutek czego bydlo bedzie miało ciężki przednowek i utracimy wszelką z niego korzyść.

Przy obrachowaniu paszy potrzebnej w zimie dla konia musimy przeznaczyc mu dziennie przez 8 miesiecy przynajmniej po 5 do 7 klg. siana i odpowiednio do wykonywanej roboty pewien dodatek owsa od 3 do 6 litrow ze sieczką. Ilosc slomy mozemy zmniejszyc do 5 klg. dziennie.

Przy zimowli owiec rachuje się dla 6 do 8 sztuk tyle paszy, ile otrzymuje 1 krowa.

Wyjaśnić jeszcze należy, dlaczego czas zimowli rachuje się na przeciąg 6 miesiecy, gdy przeciez w listopadzie pasiemy jeszcze czesto bydlo w polu, a z początkiem maja wypuszczamy je na trawę.

Pasza w późnej jesieni i na początku wiosny jest zwykle tak szczupła, iż nie może nasycić bydla, wskutek czego musi ono chudnac, a krowy dojne zaczynają dawac znacznie mniej mleka. Oprócz tego w miesiacu listopadzie padają czesto deszcze, ziemia staje się rozmo-

klą, a trawienie jej byłem jest wtedy szkodliwem tak dla roli jak i łąk. Mówiliśmy już poprzednio, iż konieczny i łąki nie powinny być spasane przed samą zimą, ażeby miały czas puścić świeże listki, któreby je chroniły od silnych mrozów, przestrzeń zatem, na której bydło może paść się w listopadzie, jest już bardzo niewielką. Zbyt znowu wczesne paszenie na wiosnę utłacza zanadto wilgotną ziemię, a zeskubanie bardzo jeszcze młodziutkiej roślinności wstrzymuje należyty jej rozwój, raptowne zaś ograniczenie była na tej paszy bez dodania karmy suchej jest dla niego zawsze szkodliwem

Dlatego tak w listopadzie jak i w maju należy dawać bydłu przynajmniej połowę tej suchej paszy, jaką dostaje w zimie, ażeby nie było głodne i przyzwyczajało się stopniowo czy to do paszy zimowej, czy też do przemiany jej na zieloną w lecie. Takie połowiczne karmienie paszą suchą w listopadzie i w maju tworzy, razem wzięte, ów szósty miesiąc zimowli. „Gwiazdka Cieszyńska.“ *Krakus.*

Mleko dla drobiu. W gospodarstwach gdzie jest dużo krów, oplaca się część mleka zbieranego i maślanki dawać na pokarm kurom, gdyż wtedy daleko lepiej noszą, szczególnie w zimie i na wiosnę. Dolewa się mleka do pokarmu, albo też zaparza się niem mąkę, tarte ziemniaki i t. p. Wszystek drób jest łakomy na ten przysmak. Mleko zastępuje dla kur potrzebne im mięsne pożywienie. Dla młodych kur i w ogóle młodego drobiu mleko jest wyborym pokarmem, przy którym się doskonale utrzymują i rosną.

Koń i komary. Zdarza się, pisze *Ziemiannin*, że koń zdrowy i dobrze utrzymany, zaczyna w miesiącu sierpniu raptem chudnąć i tracić siły. Hodowcy przekonali się, że powodem tego są robaczki, które wylęgają się w uszach końskich z jaj, złożonych tam przez komary i okrutnie dokuczają biednym zwierzętom. W pewnym gospodarstwie spostrzeżono, że konie posmutniały czegoś i zaczęły tracić siły. Wezwany weterynarz myślał, że konie zmęczone są pracą na upale zalecił więc dać im wypoczynek i dobrą paszę. Nic to jednak nie pomogło. Nie tylko konie robocze, ale nawet źrebięta chudły i nędzniały coraz bardziej. Aż po paru tygodniach ktoś spostrzegł, że jednej klaczy wycieka ropa z ucha. Wtedy gospodarz zaczął oglądać inne konie i przekonał się, że wszystkie miały uszy wewnątrz poranione. Po zastrzyknięciu wody karbolowej, z ran zaczęły wychodzić robaczki. Były to gąsieniczki komarów. Okazało się, że biedne koniska miały w uszach całe gniazda tego robactwa, które im straszliwie dokuczało. Wezwany znów weterynarz kazał w dalszym ciągu przepłukiwać uszy wodą karbolową i smarować je olejem, również zmieszonym z karbolem. Rany się pogoily, ale konie ledwo po kilku tygodniach przyszły do zdrowia, tak były wynędzniałe i osłabione.

Marchew na kolkę u koni. Pewien gospodarz duński zwraca w *Tygodniku kopenhaskim dla Gospodarzy* uwagę na pożyteczność marchwi w pewnych chorobach koni, jak kolka, zatwardzenie itd. Daje on koniom do obroku nieco marchwi, ale tylko na noc, gdyż konie w czasie krótkiego żywienia się w dzień, łakomo wybierają

marchew wiele innego obroku wyrzucają na ziemię. Najprzód — mówi ów gospodarz — wyjmuję marchew z grzędy i daję ją z hyczką koniom. Gdy następuje sprzęt marchwi pozostawiam część w grzędzie tak długo, jak długo hyczka jest zieloną. Konie jedzą ją bardzo łakomo. Od tego czasu nie był u mnie żadnego wypadku kolki ani ztwardzenia u koni.

Chloroformowanie pszczół. Znieczulanie, jako stateczny środek przeciwko cierpieniom, które oddaje tak ważne usługi chirurgii, od dawna już zostało zastosowane w pszczelarstwie dla ochronienia pszczelarza od żądzeń pszczół. Wszelkie jednak dotychczas używane środki (jak podkurzanie) były mniej lub więcej niedokładne i męczące dla owadów, szczególnie w ręku niedoświadczonego człowieka. W Anglii zaczęto stosować chloroform dla znieczulania pszczół, podczas gdy się wybiera miód z ulów. Dla ula średniej wielkości używa się $\frac{1}{6}$ uncji chloroformu, dla ula większych rozmiarów $\frac{1}{4}$ uncji. W odległości 2 metrów od ulów rozpościera się na stole obrus z grubego płótna, na obrus stawia się płaski talerz z chloroformem, który pokrywa się siatką drucianą. Następnie stawia się ul pochyło nad talerzem na stole. Po upływie 28 minut blisko, pszczoły wpadają w głęboki sen i wypadają na stół; wtedy miód się wyjmuje, ul stawia się na właściwym miejscu i talerz z chloroformem się usuwa. Po upływie pewnego czasu pszczoły przebudzają się ze snu i powracają do ula.

Korespondencya.

Nowy Sącz.

Rzadko kiedy bywam na rozprawach sądowych, dlatego też nie zawsze mogę podać szczegóły takowych dla naszych czytelników, zwłaszcza, że spraw, któreby szerszy ogół zainteresować mogły. Onegdaj jednak mając osobisty interes do jednego z pp. obrońców, trafiłem na dwie rozprawy, które mnie wielce zaciekały; rzucają one bowiem jaskrawe światło, na nasze stosunki społeczne, a oraz dają smutny obraz strony psychicznej naszego ludu. Jedna z tych spraw była: rozbójniczy napad, a druga kłusownictwo.

I tak, co do pierwszej sprawy, to jej przebieg:

Czterech chłopaków wiejskich, od 17 do 25 lat wieku, zastąpiło drogę w polu, za wsią, pędzącemu owce gospodarzowi. a pod groźbą życia, gwałtem zabrali mu barana. Było to pod Nowym Targiem. Przy rozprawie podsądni nie wypierali się wcale swego zbrodniczego czynu, a sąd skazał ich na karę od sześciu tygodni do półroka więzienia, który to wyrok przyjęli z pewnym cynizmem.

Dowcipniej obmyślany był czyn sprawy drugiej, t. j. kłusownictwo. Gajowy w skarbie nawojowskim od dłuższego czasu spostrzegł, że to wnet owo stadko sarni rozbite, że czem raz bardziej przerzedzano zajęcy, ale cóż u licha, nigdzie nie ma śladu człowieka, ale za to zdziwił się nie pomału, napotkawszy ślady jakiegoś zwierzęcia,

którego stopy są do dua konewek podobne. To zameldował we dworze i nie tań swego zdziwienia przed ludźmi we wsi. Nieprzestawał jednak śledzić wieczorami i nocami, gdyż mu ciągle zwierzyna znikała. Jakoż pewnej jasnej nocy usłyszał daleki strzał. Natychmiast dąży w tę stronę i cóż widzi? Oto kłusownik ze sarną na plecach, a strzelbą na ramieniu, umyka rażno przez bory, ale ślady robi takie, jak gdyby szedł konewkami, miał bowiem pewien rodzaj obręczy na buty wsznurowane. Widząc się odkrytym, rzuca sarnę z ramion, czem mniemał powstrzymać gajowego, ale że temu szło raczej o ujęcie ptaszka i już, już go dosięgął, boć owe obręcze utrudniały ucieczkę, zloczyńca jednym strzepnięciem nóg pozbył się takowych i umknął. Z temi to zdobyczami wraca gajowy do dworu. Kłusownik był z bliższej wsi, Łomnicy. Przy rewizji domowej znaleziono u niego w domu 2 zające i jedną sarnę, wreszcie 2 strzelby i parę sieci. W Łomnicy bowiem jest zorganizowana cała szajka kłusowników, która wytopniając zwierzynę w lasach skarbu Nawojowy, zaopatruje w zwierzynę Kraków, Tarnów i Sącz.

Do rozprawy sądowej stanął zarządca dóbr w Nawojowy, p. Go styński, a jako *corpus delicti* złożył strzelby, siecie i obręcze, jako obwie kłusownicze. Sąd skazał podsądnego na cały rok więzienia, który też przyjął wyrok z obojętnością. *Wincenty Dąbrowski.*

Nowy Sącz, dnia 20. października 1892.

Czytamy nieraz w waszej gazecie, że ten lub ów został ukarany za dręczenie zwierząt. Chciejcież się raz dowiedzieć, jaka mnie za ochronę ptasząt spotkała nagroda.

Z wczesną wiosną odebrałem swawoli gniazdo trojga piskląt skowrończych, ale cóż tu począć, much jeszcze nie ma, chyba na oknie w magistracie. Skorzystałem tedy z południowej godziny i nuż do magistratu na muchy. Okna duże, przystawiłem tedy krzesło i wspiąłem się na okno, lecz niestety, zaledwie dwie muchy ułowiłem, usuwa się krzesło, a ja całym ciężarem zsunąłem się po szybach, przyczem trzy szyby wyleciały. Co tu począć? Wołam policyanta, daję mu w łapę i posyłam po szklarza P. Buxbaum grzeczny, zaraz przyszedł, trzy szyby wprawił na poczekaniu i kazał sobie zapłacić po 36 ct. Zapłaciłem tedy z ochotą i pospieszyłem z moją zdobyczą do domu, starrannie ukrywając moją przygodę, prosiłem tylko jeszcze policyanta o sekret, ale gdzie się to utai, gdzie trzech o jednej rzeczy wie. Tak też i tu było.

Zaledwie bowiem pp. urzędnicy popołudniu się poschodzilli, a już przyszedł woźny, prosząc mnie grzecznie do p. burmistrza. Nie wiedząc tedy o co chodzi, spieszę i wstępuję do bióra prezydyjalnego p. burmistrza. Ten zaledwie mnie ujrzał, pospieszył ku mnie, śmiejąc się na całe gardło „Proszę pana częściej do nas na muchy, bo szklarz nie daje nam nigdy tak czysłego szkła, jak dziś mamy z łaski pana“. Zawstydzony, podziękowałem pięknie za tę łaskę, gdyż magistrackie muchy są zanadto drogie. Taka to trafiła mnie nagroda aa troskę o pisklęta. *Wincenty Dąbrowski.*

Skarbniczka polska.

(Ciąg dalszy).

Myszy i szeszury nie są bez znaczenia historycznego w Polsce; zjadły naprzód Popieła, lubo może ta powiastka przyszyła z zagranicy, bo r. 997 miał zginąć tym sposobem Widerold, biskup strassburski; podobny los spotkał Haltona, arcybiskupa mogunckiego i różnych Niemców: jednych, że się ważyli przeciw cesarzowi buntować, innych, że kościoły okradali. W Polsce miały myszy zjeść jakiegoś Mieczysława, księcia mazowieckiego i kujawskiego (w XII wieku). W r. 1681 o dwie mile od Lwowa zdarzyło się ruskiemu popowi, że gdy wyszedł na stóg do zrzucania snopków do młocki, wpadł w jamę pełną myszy i tylko ogryzione kości z niego znalezione. Myszy polne przez suchość lata tak się rozpostarły, że r. 1470 zjadły wszystkie zboża i Polskę ogłodziły. W r. 1622 okropna moc myszy zjawiała się na Wołoszczyźnie, przeszły na Podole i wielkie szkody pozrządzały. Około Krakowa w r. 1695 niesłychane tłumy myszy dojrzałe kłosa pościły i na zimę po dziurach sobie pochowały. Małe myszy r. 1708 znaczne wyrządzały szkody na Ukrainie, większe zaś przebywszy rzekę Tyrę przy Uszycy, udały się w kierunku Czortkowa i zboża pożarły.

(*Star. Pol.*)

Młoszowa (koło Trzebini). Wiele w dobrach tych musiało niegdyś być grubego zwierza, bo sama nazwa Łosiny, miejsca dziś łąkę stanowiącego, a wówczas lasem zarosłego, dowodzi, że nawet łosie się tu znajdowały. Gdzie indziej znowu dolina urocza, Strzałba zwana służyła za miejsce popisu palną bronią dla straży dworskiej.

(*Kolberg.*)

Muchy i pająki. Wszystko na świecie potrzebne (mówił wieśniak). Jeden żołnierz gadał, że muchy i pająki niepotrzebne. Otóż tak mu się stało: Ten żołnierz wystrzelił i niechcący drugiego kamrata zabił. Widząc swój uczynek, uciekł przed drugimi i ze strachu krył się w lesie. Wreszcie zmęczony, położył się pod krzakiem i usnął twardo; już podchodzą do niego trzodzy, co go szukali i byłiby go uśmiercili, gdyby nie mucha, która w czas jeszcze tak mocno użarła śpiącego w ucho, że się zerwał i dalej w nogi. Tak ci go ostrzegła. Ale wiedział, że go gonią inni i szukać wszędy będą, z rozkazu starszego. Nie wiedząc już prawie co z sobą począć, zbiegły schował się na noc do dziury sprchniałego drzewa i tam siedział. Przylazł pająk i dziurę tę pajęczyną zaprawił. Na rano szukający przychodzą pod drzewo, patrzą, a tu pająk sieci toczy i mówi jeden do drugiego: „Pewnie on się tu nie schował, gdyżby pająk pajęczyny tu nie mógł robić, kiedy zatem jest tu pająk, to jego samego tu nie ma“. Poszli tedy nie znalazłszy zbiega, a ten odetchnął swobodnie i wyniósł się zagranicę. Od tego czasu żołnierz ochroniony przez muchę i pająka, nigdy już na nich nie narzekał, bo wszystkie stworzenia są od Pana Jezusa dane i każde ma jakiś użytek.

Muchy są to pszczoły diabła. Diabeł mówi: „Oho! i ja mam swoje pszczoły!“ „No i cóż, gdzież je masz?“ „W izbie“. (*Kolberg.*)

Niedźwiedzie Hieronima Radziwiłła. Książę na Albie częstował Regnanta niemieckiego, z którego córką ożenił brata swego młodszego. Dwunastu niedźwiedzi przyuczonych, z farfurkami w łapach, stały za stołem jakby jaka liberya. Książę, choć panujący, ale zawsze jako Niemiec lękliwy na widok takiej usługi tak się przeląkł, że go aż trzeźwić trzeba było, co naszego księcia bardzo zafrasowało i nawet był markotny, bo cały dwór bratniego teścia znacznie obdarczywszy, a chcąc samemu panującemu dać upominek stosowny do jego godności, przeznaczył był jemu tych dwunastu niedźwiedzi, ale jakże ma ich ofiarować. kiedy ten przyszedłszy do siebie, oświadczył, że jeżeli głos niedźwiedzi usłyszy, natychmiast wyruszy nazad do swoich Niemiec.

(*Niebałki. Rzewuski.*)

Narew trująca gady. Zdziwiła rudawa Narew, płynąca nurtem, zatruwającym gady i wodne robactwa. Pod mazowieckim Nowym Dworem połączywszy się z Wisłą, długo właściwym płynęła szlakiem ta rzeka, aż wreszcie rudawy jej kolor białością wapiennej zatarty wody, przestawał być trucizną dla wodnych węzów. Skoro przy ujściu Narwi do Wisły płynący gad zakosztował niebezpiecznego napoju, z ogromnem syczeniem uciekał na brzeg rzeki, unikając szkodliwej trucizny. Płynący Wisłą flis, patrząc na to widowisko, zęgnął się i nabożnie modlił, w mniemaniu, że wodne jakieś widziadło, ogromnego przestraszyło gada.

(*Maciejowski, Polska*)

Obiady — ryby. Postny obiad zaczynał się od zupy z piwa, po której pływały grzanki, miasto karasków. Następnie dawano różne potrawy rybne, zastawiając: węgorze, śledzie, a obok nich wyzinę, lososia, tudzież solone szczupaki, karpie. Smakosze zajadali dziwnym sposobem przyprawiane węgorze. Nakropiwszy kawał sukna małmazyą obwijali niemi rybę i piekli ją w gorącym popiele, obłożonym z daleka żarzącym węglem. Inne ryby inaczej przyprawiano. Karpia i lina gotowano z czarną juchą (sosem). Jesiotra i szczupaka dawano w rosole (ze sosem). Węgorza wygotowywano kruchuchno w gorącej jusze (w czarnym sosie). Śliże smażone z imbierelem dawano z octem, suma i raki, tudzież sandacze, dorsze i pstrągi z masłem zastawiano. Na zimno jadano płotki, liny, kielbie i flądry.

(*Maciejowski, Polska*).

Ogrody sławniejsze:

w Balicach pełen owoców i rzadkich winogron, fig, brzoskwiń i moreli (1596);

w Tenczynie, Winnicach w Prądniku (Górnicki, dworzanin), koło Sandomierza w Czarnkowie (*Starowski*);

w Wąchocku, sławny pięknoscią ogród (*Starowski*);

w Brześciu litewskim, piękny pałac królewski z ogrodem (*Starowski*);

w Białym, wspaniały ogród Radziwiłłowski;

w Knyszynie wielki ogród królewski;

w Radziejowicach, w czasie przejazdu Ludwiki Maryi ujrzeli ogród wesóły i ozdobny, z jednej strony wody, z drugiej kwiaty, szpalery i gabinety do odpoczynku i gry. Wśród zwierzyńca był stru-

myk, ogrodowym kanałem, dostarczający wody, ten wbiega w staw ogromny, z drugiej strony zamku wieża, czyli dom okrągły wśród stawu na wiele gołębi;

w Warszawie za Kaźmierzowskim pałacem, dziś gmachem biblioteki publicznej, jest ogród z plotem od Wisły, tam kwatery pełne ziół wodnych i kwiatów, fontanny marmurowe, posągi ze spiżu. W ogrodzie niższym jelenie się pasą, gęsi dzikie i łabędzie pływają, zórawie chodzą, krynica dodaje wody do sadzawki.

(Janowski, opis Warszawy.

Ogrody koło Tulczyna, blisko Niemierowa, Zofjówka, Zalesie Ogińskiego na Litwie. *(Gołębiowski).*

Nie było drzew jadowitych, jako to: cisu i orzecha włoskiego, ale sadzono drzewa rokoszne, hobkowe, winne, cyprys, jabłoń, gruski i inne.

Z drugiej strony pałacu była sadzawka, a w koło niej stały lipy. Zwykle też zasadzano gaj naprzeciw wirydarza, a w jego ogrodzeniu były sadzawki i rybnice, ku chowaniu ryb rozmaitych, przy brzegach stały do pływania łódki. *(Maciejowski, Polska.* (C. d. n.)

R o z m a i t o ś c i.

Po'owanie na kozice. Dnia 25. i 26. sierpnia b. r. urządził polowanie na kozice ks. Hohenlohe w Tatrach, w t. zw. Żabiem obok Morskiego Oka. Naganiacze przekroczywszy granicę węgiersko-polską, naruszyli obszar sporny, albowiem pędzili kozice z pod Rysów nad Czarnym Stawem,

Pomimo, iż ustawą krajową z 19. lipca 1869 zabroniono polowania na kozice w granicach pałskich Tatr, zabito siedm kozic, główki jako odznaki myśliwskie, posłano do Prus, a kozinę sprzedano w Jaworzynie po 20 ct. za kilo. Biedne kozice padły ofiarą zaborczości pruskiej. Obszar, z kć ego pochodzą kozice nie należy ani do Węgiei, ani do ks. Hohenlohe, jestto więc rabusiostwo, zwykle kłusownictwo i powtarza się już po raz drugi bezkarnie.

Kiedyż więc doczekamy się uszanowania ustaw i kiedy ustaną wstrętne objawy buty pruskiej na polskiej ziemi?!

Biedne koty. Czytamy w *Gazecie Lubelskiej*: Fantazyja ludu pod względem tworzenia najrozmaitszych guseł i zabobonów, a nadto wynajdywania lekarstw przeciw rozmaitym chorobom jest niewyczerpaną. Oto nawet na usunięcie cholery, tej tak stosunkowo niedawno znanej choroby, lud nasz wynalazł bardzo skuteczne według swego pojęcia lekarstwo, receptę na przygotowanie którego podajemy tutaj w tem brzmieniu, jakie ona posiada w zachodniej części gubernii naszej: „Weź kota koniecznie czarnego i to samca, napal w piecu chlebowym tak, żeby ściany jego rozpałiły się do czerwoności, potem wrzuć owego kota w piec, a otwór tegoż zamuruj, a napewno cholera (grasująca w danej miejscowości) ustanie“.